

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Dzionek grzecznej Mani.

Mania ledwie wstanie z łóżka,
Zaraz radzi się serduszka
I rozumek własny bada,
Jak przepędzić dzień wypada?
Wnet ma cały planik w głowie
Wpierw „dzień dobry“ mamie powie,
Ucałuje tacie ręce,
Jak przystoi to panience,
Dobrze pięknie wychowanej
Która wdzięczna ma serduszko.

Gdy pościeli Mania łóżko,
Zimną wodą zaraz myje
Rączki swoje, twarz i szyję;
O porządek już spokojna,
Mania dobra, bogobojna,
Tak jak starszy brat, Wiktorek.

Kłęcząc, mówi swój paciorek.
Po paciorku, grzeczna Mania
Już śląda do śniadania,
Po śniadaniu, wnet bez sprzeczeki,
Zabiera się do książeczki.
Przy rozmówkach gadu-gadu
Tak czas schodzi do obiadu.

Po em Mania przy mamusi
Szyje suknie dla lalusi,
A gdy grzeczna, to ją stroi
I nakarmi i napoi.
Czasem mówi: „Nie bądź sprzeczną!
Ej, nie grymasz, bądźże grzeczna,
A wezmę cię do ogrodu.
Zabawimy się wśród chłodu,
I śladziemy tam w altanie
Obok mamy, jak dwie panie.
Ponieważ dzień bardzo krótki,
Ja się wezmę do robotki,

A tymczasem ma lalunia,
Dobra, grzeczna, jak córunia,
Lulać będzie w swoim łóżku.
Na pościółce w miękkim puszkę.
Wtedy robiąc, ma pończoszkę.
Ucałuję swą pieszczoszkę.
Jeśli grzeczna pościem: cacy!
I powrócę do mej pracy.
Mama mnie pochwali za to
Przed kochanym moim tatą.
Tata powie: „Kocham działki,
Co pracują obok matki“.

CHOINKA.

W pewnym ogrodzie było dużo rozmaitych
drzew: owocowe i dzikie, a między temi dąb,
jodla i inne. Drzewa tewały zgodnie, jedno nie-
daleko drugiego.

Ale razu jednego posprzeczały się z sobą.
Szło więc o to, które z nich najlepsze i najwięcej
warte.)

— Patrzcie na mnie, zawołał dąb — patrzcie,
jaki jestem wspaniały, jaki wzrost, jakie konary,
jakie mam liście, a jaki owoc! Czy może być na
świecie drzewo lepsze odemnie?

— Śliczny mi owoc — zawoła brzoskwinia
— dobre to dla trzody, ale nie dla ludzi! To
ja, mój panie, chociaż nie jestem wielka, wydaję
owoc, który podają nawet na stołach królew-
skich.

— Ależ, co znowu! — zawołała jabłoń —
twoje brzoskwinie żyją zaledwie kilka tygodni,
a potem się zaraz psują i gniją, śliczny mi przy-
smak! Ja zaś to już całkiem co innego: że małe

zbierają owoc koszami całemi, a jaki smaczny, jaki trwały, a jaki śliczny, jaki rumiany! Moim owocem posilają się królowie i biedacy, przynasz więc sama, że jestem najpożyteczniejszym drzewem.

— Mylisz się moja droga! odezwiała się jola — takich jak ty drzewek mamy dosyć w polu i ogrodach rozmaitych; lecz jodły nie znajdziesz byle gdzie. Mojem drzewem palą w piecach, z mojego drzewa stawiają domy, z drzewa mego trą deski i robią z nich, stoły, szafy, komody, ba nawet okraty. A prócz tego jestem nietylko latem, lecz nawet zimą zielona i piękna!

— O, moja droga, rzecze skromnie mała choinka — tenże sam pożytek mają ludzie i ze mnie, tylko mnie prócz tego kochają. Bo kiedy nadejdzie gwiazdka, wtenczas o mnie wszyscy mówią i wszyscy mnie poszukują. Wnoszą mnie zwykle do najpiękniejszego pokoju, stawiają mnie na stole, a potem obwieszają moje gałązki złotem i orzechami, jabłkami, migdałami, rodzynkami, piernikami, cukrami, obrazkami i podarunkami. Wieczorem zapalają na mnie mnóstwo świeczek, abym jeszcze ładniej wyglądała; a potem... potem wchodzą dzieci ucieszliwione i otaczają mnie dokola. Cieszą się i skaczą z radości, że choinka taka piękna i taka dobra, bo im daje tyle rozmaitych zabawek i innych podarków i sprawia im tyle uciechy!

Któż z tych drzew miało rację?

Wicus i kruk.

Brzydki miał zwyczaj mały Wicus, że nie lubił mówić prawdy. Gdy był o co zapytany, to zwykle odpowiadał co innego i dopiero potem wydawało się, że to kłamstwo. Ojciec groził mu za to często, a gdy Wicus się nie poprawił, oblił go raz różgą.

— Kiedy mnie tak biją — mówił Wicus — to pójdę sobie daleko i nie wrócę do domu.

I poszedł w pole. Około południa zaszedł do lasu. Chodził dużo, więc mu się jeść chciało okropnie, a była to właśnie chwila, w której w domu obiad podawano.

— Ach, żebym też mógł znaleźć choć cokolwiek dla siebie, tak mi się chce jeść — zawołał i westchnął głośno.

Naraz odezwał się jakiś kruk z gestwiny:

— Idź jeszcze ze sto kroków, a znajdziesz tam wielkie, słodkie poziomki.

Wicus uszedł sto kroków, lecz poziomek nie znalazł, bo ich tam wcale nie było.

— Gdzież są te poziomki? — pytał zniecierpliwiony. Lecz kruk schował się za drzewo i śmiał się głośno.

— Ty kłamco! — zawołał Wicus.

A ty nie kłamiesz nigdy? — zapytał kruk z za drzewa.

Głód dokuczał Wicusowi coraz bardziej. Chłopczyk zaczął płakać.

Przykro mi bardzo, że cię tak głód dręczy — odezwał się kruk powtórnie — ale tym razem muszę ci dopomóc. Tam dalej stoi wielka jabłoń, a pod nią na ziemi leży pełno dojrzałych jablek. Sam ci pokażę to drzewo, pólece naprzód a ty idź z wolna za mną.

Chłopiec szedł, szedł za krukami, nareszcie stanął pod jakimś drzewem, które miało być ową jabłonią, była to stara pochylona brzoza.

Gdzież jablek? — zapytał Wicus — widzę tu tylko same różgi, a za różgi ślicznie ci dziękuję, już wiem jak smakują, dostałem je dziś na śniadanie.

Na te słowa zaśmiał się kruk znowu i fruwał na drzewo, a chłopczyk powtórzył: — Ty brzydki kłamco!

— A ty nie kłamiesz nigdy zapytał kruk powtórnie.

Stał tedy Wicus i nie wiedział co począć, bo w dodatku drogę zmylił.

Ach, jakże się wydostanę z tego lasu? zawołał ze łzami.

— Jeśli ci tylko o drogę chodzi, to ci wskażę z miłą chęcią — odezwał się kruk ponownie, — pójdz za mną i nie płacz!

Wicus poszedł za krukami. Po długim chodzeniu znaleźli się nad rowem tak szerokim, że Wicus ani marzyć nie mógł o przedostaniu się przezeń. — Kruk oczywiście fruwał na tamtą stronę.

— No dalej, dalejże, mój chłopcze! — zawołał złośliwie, — próbaj, może przeskoczysz... — Wicus spojrzał na ów rów... w rowie była woda, — ani sposób przejść!... — Zaczął więc rzewnie płakać... Lecz kruk znowu zaśmiał się głośno.

— Widzisz, kuku, jakiś jest niedobry, miałeś mi wskazać dobrą drogę, a pokazałeś taką, że ja tedy wcale przejść nie mogę, jesteś szkaradnym kłamcą! — zawołał Wicus wśród łez gorzkich.

— A ty nie kłamiesz nigdy? — zapytał kruk znowu.

Tymczasem już i słońce zaszło, na świecie śmiesznie się zaczęło.

— Ha! — zawołał kruk z za rowu — już ci tym razem drogę pokazać muszę, bo żal mi cię naprawdę. Chodź za mną!

— Nie, mój panie! — odrzekł Wicus — już ja ci nie uwierzę tak prędko!

— A tobie, czy mogą wierzyć rodzice, kiedy co powiesz? — pytał kruk.

Chłopczyk schylił głowę i milczał.

— Hm!... prawda!... pomyślał w duchu, kłamstwo, to rzecz szkaradna, już ja odtąd kłamać nie będę, dosyć tego.

— No chodźcie!... — zawołał kruk po wtórnie.

— Nie, nie pójdę, nie wierzę ci już, bo kłamiesz.

W obawie, co począć dalej, zaczął Wicusz rzewnie płakać. Wtem... budzi się... patrzy... a on w łóżeczku.

— Dzięki Bogu, że mi się te okropne rzeczy tylko śniły! — zawołał radośnie. — O nie będę już kłamał nigdy, przenigdy! zawsze prawdę powiem!

I w samej rzeczy Wicusz się poprawił, nie kłamał odtąd ani razu. Rodzice mają dziś z niego pociechę i pomoc w starości, bo Wicusz już pracuje na siebie i jest porządnym człowiekiem.

Chodzący dzwon.

(Dokończenie.)

Kościółek wnet się zapełnił wiernymi, lecz Hansa w nim nie było. Zamiast w kościele siedzieć, walczył się Hans między skałami. W tem nagle usłyszał za sobą dzwonienie. Zrazu mało na nie zważał, lecz gdy dźwięk dzwonka coraz bliżej dał się słyszeć, przestraszony nieco Hans zwrócił się w tę stronę z kąd go głos dochodził.

Lecz o dziwo! Dzwon, poruszając się z miejsca na miejsce, zbliżał się ku Hansowi. Ten nie dowierzał oczom, dał kilka skoków i stanął na wierzchołku najwyższej góry, sądząc, że dzwon tam za nim nie podąży.

Lecz jakie było jego zdziwienie, gdy spostrzegł, że dzwon dzwoni i ku niemu zdąża.

Przestraszony Hans spuszcza się jak błyskawica po górach i odłamach skał i biegnie prosto do kościoła.

Widząc to brat jego Wilhelm, bo on to był tym dzwonem, pobiegł za Hansem, następnie udał, że nic nie wie. Hans wrócił z kościoła, zasiadł do stołu, lecz o chodzącym dzwonie nie wspominał.

Na drugi dzień i następne dni Hans po pierwszych uderzeniach w dzwony, już był w kościele.

Odtąd stał się Hans pilniejszym, lecz co każdego najwięcej zadziwiała, najpobożniejszym.

Iluz to z was, kochane dziatki, słucha głosu dzwonka? Nie wszyscy idziecie za jego głosem do kościoła. Pamiętajcie, że dzwonek z wieży zawsze wam daje znać o tem, co się dzieje w kościele. On was dziwnym głosem woła do świątyni Pańskiej. Idźcie za nim, zmówcie w kościółku kilka pacierzy za waszych rodziców; prosicie Boga o zdrowie dla was, a Bóg proźby waszej wysłucha.

Walenie się po ulicy nie wam dobrego nie przyniesie, natomiast kilka pacierzy zmówionych w kościele przynosi Wam błogosławieństwo Boże, bez którego na świecie żaden człowiek nie może.

Chłopczyk i gniazdko.

Mój chłopczyku, jam mateczka,
O! nieruszaj mi gniazdeczka!
Niech cię wruszy głos mateczki.
Patrz, w gniazdeczku mam dziateczki.

Nie zaglądaj tu ciekawie,
Odejdź, odejdź stąd laskawie!
Przed tobą się ptaszki kryją,
Bledne, z trwogi ledwo żyją!

Choć chłopczyzna dla igraszek
Radby widzieć małe ptaszki,
Lecz że matka ich narzeka,
Od gniazduka stanął zdaleka.

Matka wtedy jak najczulej
Skrzydółkami dziatki tuli,
I przez wdzięczność swą, po chwili,
Chłopcę śpiewa jak najmilej.

Dobry syn.

Bajka z przed lat tysiąca.
Napisał Władysław Biega.

(Ciąg dalszy.)

— Uspokój się mój pocciwy Janku i nie miej żalu, że cię wystawił na próbę, doświadczyć cię chciałem a nie księć; wiem jak święte dla synowskiego serca zadanie masz do spełnienia i nie myślę więzić cię poniewoli. Jutro wprowadzę cię na słońce i wynagrodzę tak, jak pocciwość twoja na to zasługuje. A tymczasem: — Hola chłopcy! — zawołać na służbę — zastawiać stoły i podawać wieczerzę!

— A ty mój miły gościu — zwrócił się do brotliwie do Janka — posil się i wypocznij, ażeby z pokrzepionymi siłami wstać jutro do dalszej podróży.

Nazajutrz ledwie Janek otworzył oczy, ujrzał przed sobą gospodarza, który przyjaźnie wyciągał doń rękę.

— Wstawaj Janku, za chwilę i słońce już wstanie, a komu w drogę temu czas.

Zerwał się Janek z posłania, przetarł kłakiem powieki, chwycił za kosztur i węzelek i za chwilę był już gotów do podróży.

Niewidzialna siła wyniosła ich znówu jak na dloni na powierzchnię ziemi, którą ozlacały właśnie pierwsze promienie wschodzącego słońca.

— Oto mój Janku, mówi poważnie starzec, — kres i granica mojego królestwa. Zegnam cię serdecznie mój pocziwy chłopcze, życzę ci szczęścia w podróży i zapewniam, że będę pamiętał o tobie. A jako dowód mojej życzliwości, przyjm te dwa małe podarki, które nie obciążą wcale mojego tłumacza.

I podał Jankowi dwa jakies przedmioty.

Oto — rzekł — jest czarne ziele, mające właściwość poskramiaiania najstraszniejszych potworów; a to drugie, to płachta samolotka, która jakby na skrzydłach przenosić cię będzie z miejsca na miejsce. Jedno i drugie przyda ci się w podróży a jak i kiedy czego użyć, to własny cię rozum nauczy.

Rzekłszy to skinął mu jeszcze przyjaźnie ręką — i zniknął.

A Janek znówu wędrował dalej.

IX.

Janek u źródła żywej wody, gdzie poraz drugi spotyka się z znachorem. — Pomyślny skutek wieńczy jego usiłowania.

Droga prowadziła teraz przez kamieniste pole, przez nagromadzone zewsząd ostre głazy a im dalej posuwał się Janek, tem grunt stawał się nierówniejszym, tem droga przykrzejszą i bardziej utrudzającą.

Po zejściu ze stoku siódmej góry, którą przebył nazajutrz, ujrzał z radością wznoszącą się w oddali kryształową skalę, a na jej szczycie wytryskujący źródło żywej, cudownej wody. Skośne promienie zachodzącego słońca ubierały ją we wszystkie blaski drogich kamieni, iskry złota i tęczkowe kolory, że migotała w promieniach jak kosztowny brylant w dawnej koronie królów naszych.

Ostatki sił zbierał pocziwy Janek, aby jeszcze przed wieczorem dotrzeć do jej szczytu, zaczerpnąć upragnionej wody i co żywo powracać do matki.

Jakóż widocznie Bóg mu błogosławił w jego usiłowaniach, bo daleko jeszcze było od wieczora, kiedy Janek ostatni krok swój postawił u stóp kryształowej góry.

Tak mu pilno było stanąć u celu, że ani chwili nie chciał tracić na rozglądanie się po okolicy, która jednak dziwną była i uderzającą. Gdyby miał czas na patrzenie, toby dostrzegł jakiś niezwykle ruch wśród rozrzuconych tam kamieni, usłyszałby dziki ryk jakichś strasznych bestyi dolatujących z wysoka; toby wreszcie zastanowiły go te chmury kruków unoszących się w powietrzu i kraczących przeraźliwie. Ale Janek nie z tego nie widział ani słyszał.

Zmierzył badawczym wzrokiem przestrzeń, oddalającą go od szczytu, obejrzał dokładnie prostopadle boki kryształowej góry i doszedł do przekonania, że tu siła ludzka nie poradzi, że trzeba chwycić się innego sposobu.

Rozpostarł tedy płachtę samolotkę i usadowiłszy się na niej, zawołał:

Wyżej lasów, niżej chmury,

Nieś mię płachto na szczyt góry!

Płachta zatrzepotała czterema rogami jakby czterema skrzydłami i w mgnieniu oka przeniosła Janka na wskazane miejsce.

Ledwie, że stanął on na wieżchołku, wnet wyskoczył z ukrycia olbrzymi potwór, o siedmiu głowach i nietoperzych skrzydłach, który pędem rzucił się na Janka.

Z siedmiu jego paszcz, wylatywało siedm ognistych języków, a każda paszcza chwytala Janka za swię. Po nad nim, chmara czarnych kruków, kracząc przeraźliwie i bijąc w ciężkie skrzydła, uniosła się w powietrzu, rozdziawiając suche gardziele i grząc chłopcu ostrymi dziobami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kwiatok.

O! moje kwiatki, moje kochane,
Jak wyście pięknie zawsze ubrane!
Ja nieraz myślę... i to mnie dziwi,
Kto też was poi i kto was żywi,
Bo wszak wy, biedne moje kwiateczki,
Nie macie Ojca ani Mateczki?

O nie, dziecino, jest Ojciec w niebie,
Który o każdej myśli potrzebie,
On to tak pięknie nas przyodziewa,
Zysła słońeczko, co nas ogrzewa,
Matką zaś naszą — ziemią kochaną,
Co nas wieczorem karmi i zrana.